ROK VI. Chicago, dnia 18go Października, 1888. **No. 42**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1.50. Przedpłata musi być naprzód opłacona. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: W. Smulski, 635 Noble st. Chicago.

Entered at the post office of Chicago, Ill. as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Swięty“ i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3go Stycznie R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagoski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 18 października	Gawła opata wyz.	Radzisław.
Piątek, 19 października	Florentyna b.	Zytysława.
Sobota, 20 października	Łukasza Ewang.	Bratumił.
Niedziela, 21 października	22-ta po Sw. Piotra z Alkant.	Ziemowit.
Poniedziałek, 22 październ.	Edmunda i przen. ś. Wojc.	Budzisława.
Wtorek, 23 października	Urszuli p. i towarzyszek.	Doromila.
Sroda, 24 października	Marka Filipa.	Przebysława.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ XXII-tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Mateusza w rozdz. XXII. od w. 15 do 22.

Onego czasu radzili Faryzeuszowie między sobą; jakoby Jezusa podchwycili w mowie. I posłali Mu uczniów swoich z Herodyanami mówiąc: Nauczycielu! wiemy, iżeś jest prawdziwy, i drogi Bożej w prawdzie nauczasz, a nie dbasz na nikogo, albowiem nie oglądasz się na osobę ludzką. Powiedzże nam tedy, co Ci się zda, czy się godzi dawać czynsz cesarzowi, czyli nie? A Jezus poznawszy złość ich, rzekł: Czemuż Mnie kusicie obłudnicy? pokażcie Mi monetę czynszową. A oni przynieśli Mu grosz. I rzekł im Jezus: Czyj jest ten obraz i napis? Rzekli Mu: cesarski. Tedy rzekł im: Oddajcież tedy, co jest cesarskiego, cesarzowi, a co jest Bożego, Bogu.

CÓRKA SYBIRSKIEGO WYGNAŃCA.

Powieść z niedalekiej przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

Byłoto właśnie 18. maja, kiedy się Marta z przewodnikiem w drogę wybrała. Potrzebowali oni całego miesiąca do przebycia syberyjskich lasów ku zachodowi, w których o tym czasie było mnóstwo bagien i kałuż. Czasami dozwalali im tatarscy chłopi za małą zapłatę, otrzymaną od O. Pawła — ponieważ Marta posiadała tylko 40 kopijek — wsiąść na ich wózek. W nocy odpoczywali w tak nędznych chatach, iż Marta z początku spać nie mogła. Kładła się ona w sukniach na renią, lub niedźwiedzią skórę w przestrzeni, napełnionej dymem „wonią gorzałki i tytoniu, gdzie wiatr szparami zawiewał, a dla powiększenia nieprzyjemności ojciec, matka, dzieci, a czasem nawet bydło jedno przy drugiem spali. Czterdzieści wiorst od Tyumenu przechodzi się przez las, gdzie graniczne słupy oznajmiają, że się tutaj gubernia tobolska kończy i że się tutaj dwie części świata Azya i Europa stykają. Marta spostrzegła to; opuszczała ona więc kraj wygnania, a wstępowała w część świata zupełnie nieznaną. To, co opuszczała, stało się dla niej miejscem rodzinnem, ojczyzną; w Azyi pozostawiła jedynych obrońców, których miłości była pewną — czyż w Europie, którą tylko z czytania nielicznych książek poznała, mogła znaleść choćby jedno serce, któreby jej nędza wzruszyła, któregoby mogła prosić o opiekę? Bez wątpienia musiało jej tutaj wpaść jedno nazwisko na pamięć. Tak, gdyby mogła się tylko spodziewać, że jego zastanie w Petersburgu — wtenczas udałoby się zapewne wszystko. Atoli jego tam nie było: był on w Litwonii przy wojsku. Jej jedynym pomocnikiem był tedy O. Paweł, którego bardzo szanowała, i który według jej wyobrażenia musiał także wywrzeć wrażenie u dworu.

Z Tobolska do Permu jest prawie 900 wiorst; lecz drogi są dobre, pola urodzajne i dobrze uprawione. Napotyka się tędy często zamożne rosyjskie i tatarskie sioła, których

mieszkańcy szczęśliwymi i zadowolnymi się wydają tak, iż nie powinno się sądzić, jakby oddychali powietrzem syberyjskiem. Można się tutaj spotkać niekiedy z dobrze urządzonymi karczmami, gdzie się znachodzą stoły, stołki, dywany i przedmioty zbytkowne, które dla Marty nowość stanowiły i w niej zadziwienie wzbudzały.

Na tej także drodze przeszli oni góry uralskie, nie zbyt wysokie, ale zawierające złoto, srebro, platynę, miedź, żelazo, kamienne węgle i rozmaite szlachetne kamienie. Miasto Perm z osobliwszą mieszaniną pałaców i chat nie spodobało się Marcie; albowiem mimo, że to miasto bardzo ożywiony handel prowadzi, ulice w niem są ciasne i brudne. Stąd do Kazania kraj pokryty jest po największej części chudemi pastwiskami i ciemnemi sosnowemi borami, tak mało jest on zaludniony, że można cały dzień pódróżować, zanim się na jakie sioło natrafi. Marta nie użalała się na znużenie i skoro była skłonna do mniemania, że jej o mozołach podróży za dużo i z przesadą opowiadano, albowiem pogoda była piękna, a oni spotykali niekiedy lekkie wózki, zaprzężone według rosyjskiego zwyczaju, powracające z Uralu i Syberyi, dokąd wygnańców odwoziły. Rosyanie, albo Kozacy zawsze byli skorzy do brania z sobą na pewną odległość sędziwego mnicha i młodej dziewczyny i nie chcieli nawet czasami przyjąć kilka kopijek, jakie im O. Paweł za to ofiarowywał.

Przybywszy na brzeg Kamy, potocznej rzeki Wołgi odbyli już nasi podróżni prawie połowę niezmiernej drogi. Dotąd dola ich była jeszcze znośną; atoli w drugiej połowie drogi napotkali więcej nieprzyjemności. Piękna pora roku miała się ku schyłkowi — powietrze stało się zmiennem.

Już od kilku dni wysilenie w marszu O. Pawła widocznie zmęczyło i musiał często odpoczywać, lubo jego kroki ramię Marty i kij podróżny wspierały. Kiedy wsiadł na kibitkę, to wstrząśnienia wózka sprawiały mu gwałtowne boleści, albowiem droga przez bagniste lasy była po największej części groblą z wielkich okrąglaków, a w Rosyi jest zwyczaj jechania nie stępą, lecz wyciągnionym kłusem, lub cwałem.

Przybywszy do Sarapulu, miasta, leżącego na prawym

brzegu Kamy uczuł się O. Paweł tak słabym, iż nie mógł iść dalej. Znaleźli podróżni przytułek w lichej karczmie, gdzie im dano izdebkę na strychu, gdzie nie było ani stołka, ani ławy a tylko jedno okienko bez szyb się znajdowało. Jedynem umeblowaniem był tutaj koszlawy stół i próżne łóżko. Narzucono nań słomy, na której się misyonarz położył. Wiatr tak zimny dął przez okno, że odbierał sen choremu nawet wtenczas, kiedyby tenże wskutek zwolnienia cierpień mógł był spać. Posępne myśli zaczęły trwożyć Martę. Pytała się o lekarza, atoli podówczas w Sarapolu go nie było. Domownicy nie troszczyli się o stan staruszka a Marta musiała się nim sama zająć. Nazbierała ona skutecznych ziół, które od matki poznała i sporządziła z nich napój dla chorego.

Z nadejściem nocy pogorszyło się O. Pawłowi; Marta nie mogła się od łez powstrzymać. Zapaliła ona smolne łuczywo, jakiego w owych okolicach zwykle zamiast światła używają, i całą noc czuwała nad chorym i pielęgnowała go. Nad ranem znowu przystąpiła do łoża chorego dla podania mu napoju. Misyonarz czując, iż wkrótce nie będzie mógł już mówić, podniósł się na posłaniu, wziął czarkę z jej ręki i wzniósłszy oczy ku niebu, tak do niej przemówił: „Boże, polecam ją w Twoje ręce; zmiłuj się nad Swem dzieckiem!“ Zwracając się zaś do zapłakanej Marty mówił dalej: „Nie płacz lube dziecię! wprawdzie jeszcze tej nocy opuszczę cię na zawsze, ale wiem, że mię Bóg wysłucha i patrzy na twoje i łzy twych rodziców. Dlatego nie trać ducha i odbywaj dalej choć sama drogę, wiem z pewnością, że będziesz oglądała oblicze cara i wyjednasz u niego ułaskawienie rodziców. Weź z mego habitu sakiewkę, którą mi dał szlachetny gubernator Tobolska, kiedy ciebie memu kierownictwu i staraniu poruczał. Zachowaj jego tajemnicę, albowiem, gdyby wyszło na jaw, że córce Poniatowskiego dał pieniądze i przewodnika, aby się dostała do Petersburga, natenczas musiałby zginąć. Masz tutaj i ten krzyżyk z hebanowego drzewa i noś go jako pamiątkę od starego O. Pawła — on jest wszystkiem, co dzisiaj posiadam. Pan Bóg któremu 60 lat służy-

łem, niechaj pobłogosławi tobie i twojej rodzinie i niechaj wam zeszle pomyślność."

Więcej mówić nie mógł; usta jego poruszały się jeszcze; ale wyrazy były już niezrozumiałe — upadł w tył na słomę i wyzionął ducha. Lament opuszczonej dziewczyny ściągnął do karczmy kilkoro ludzi. Pytano się, co się stało. Marta wskazała na martwego obrońcę i dalej płakała. Ludzie nie mogli pojąć, dlaczego młoda dziewczyna nad śmiercią starego mnicha ubolewa i płacze, i oddalili się, potrząsając głową. Gospodarz, któremu tylko o to chodziło, aby za lichy podany posiłek otrzymać zapłatę, przeszukał nieliczne rzeczy nieboszczyka i znalazł uradowany wspomnioną sakiewkę w habicie misyonarza, którą zabrać Marta w boleści zapomniała. Zabrał ją tedy gospodarz, zapewniając Martę, że resztę gotowizny nazad otrzyma, skoro tylko z niej odtrąci swój rachunek i pokryje koszta pogrzebu.

Wkrótce nadeszli popi z pogrzebowym orszakiem i poświęconemi świecami. Zarzucili oni obszerny całun na zwłoki nieboszczyka. Biedna Marta zalała się łzami, kiedy musiała wypuścić szorstką rękę swego przewodnika, którą dotąd w swych rękach trzymała. Następnie włożono trupa do trumny i zaczęto śpiewy przy umarłym. Marta, lubo wycieńczona i złamana chciała odprowadzić aż na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki człowieka, który ją prowadził, ochraniał i sił jej dodawał.

Na prawym brzegu Kamy u stóp pagórka, na którym widać zwaliska jakiejś warowni, która za czasów rozruchów baszkirów zburzoną została, leży poświęcone miejsce, gdzie mieszkańcy Sarapulu znachodzą wieczny odpoczynek. Tutaj także złożono na spoczynek strudzone ciało misyonarza. Zanim otwartą trumnę do grobu spuszczono, włożył pop według prawosławnego obrządku małą monetę w rękę nieboszczyka, aby tenże mógł opłacić nią przewóz do królestwa umarłych. Potem spuszczono w dół trumnę, i przyrzucono grób ziemią. Marta pozostała na grobie aż do wieczora. Płakała ona tutaj i modliła się i znalazła wreszcie pociechę, ulgę i ufność w Bogu. Zanim opuściła grób misyonarza,

napisała na krzyżu: „Umarł sprawiedliwy i nie masz nikogo, któryby sobie to wziął do serca.“

Potem powróciła do karczmy w Sarapulu. Następnego poranku, kiedy się wybierała w dalszą drogę, zwrócił jej gospodarz jeszcze 3 ruble z zapewnieniem, że to wszystko, co jeszcze zostało z gotowizny w sakiewce misyonarza. Marta przyjęła z wdzięcznością pieniądze; nie wpadło jej bynajmniej na myśl, że ją gospodarz haniebnie oszukał, jakkolwiek się to istotnie stało. Osamotniona wylewała teraz Marta obfite łzy w drodze; wszystko, co ją spotkało, dawało jej odczuć znaczenie człowieka, którego straciła. Kiedy ją wieśniak, ciekawy podróżny oczyma prześladował, pytał — brakło jej czcigodnego towarzysza, którego widok ludzi szacunkiem przejmował. Kiedy ją zmuszało znużenie, aby usiadła, lub próżna nadjechała kibitka — nie śmiała już zatrzymać ją z obawy odmowy, albo zniewagi. Nadto pragnęła jak najwięcej zaoszczędzić z owych 3. rubli, gardząc wszelką wygodą, aby nie potrzebowała w krótkim czasie prosić jałmużny.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

W pierwszych dniach października przybyła Marta do Kazania. Przez kilka dni dął przykry wiatr północnowschodni; ziemię pokrywał obfity śnieg; a olbrzymią Wołgą płynęły ogromne kry lodu, tak, iż nią całkowicie nie przewożono. Można ją było przebyć tylko w ten sposób, iż jechano łódką po wolnych do lodu przestrzeniach, a następnie z kry na krę przeskakiwano. Przewoźnicy podejmowali się więc tylko wtenczas tak niebezpiecznego sposobu przewożenia ludzi, gdy byli pewni sutej nagrody. Marta, nie zastanawiając się nad niebezpieczeństwem chciała wsiąść na łódkę; atoli odtrącono ją jako szaloną, oświadczając jej, aby poczekała, ażby lód całą rzekę pokrył — natenczas może pobiegnąć na drugą stronę. Marta zapytała, jak długo musiałaby na to czekać. Odpowiedziano: „Najmniej dwa tygodnie!“ Dziewica zdecydowała się w okamgnieniu: „Proszę was“ — rzekła błagalnie — „w imieniu Boga przewieźcie mię przez

rzekę. Przybywam od Tobolska i udaję się do Petersburga dla ubłagania łaski u cara dla mego ojca, którego na Sybir skazano; jeśli 14 dni w Kazaniu pozostanę, rozejdzie się mi odrobina pieniędzy, jakie posiadam."

Słowa te wzruszyły jednego przewoźnika; ujął on Martę za rękę i rzekł: „Pójdź, spróbuję przewieść cię na drugą stronę. Jesteś dobrą córką, boisz się Boga i kochasz ojca— niebo będzie ciebie uchraniało." Następnie wziął ją dobry człowiek na łódkę i wjechał z nią na środek rzeki — ponieważ tutaj łódź okazała się nieprzydatną, wziął on dziewczynę na barki i szedł z nią po lodzie, opierając się na wiośle. Bez przygody dostał się wreszcie na drugi brzeg; a kiedy wdzięczna Marta wydobyła sakiewkę, w której się jeszcze 2 ruble i kilka kopijek znajdowały, rzekł przewoźnik patrząc na ten jej skarb. „Biedna dziewczyno z tymi pieniędzmi chcesz dostać się do Petersburga i myślisz, że Mikołaj Kisielów przyjąłby chociaż jednę kopijke? Nie, raczej dodam ci jeszcze jednę: to przyniesie błogosławieństwo mnie i moim dzieciom." Mówiąc to wrzucił on kopijkę do otwartej sakiewki, życzył jej błogosławieństwa Bożego i oddalił się.

Marta, aż do łez wzruszona puściła się w dalszą drogę. Pogoda była jasna, mimoto dął wiatr północno-wschodni z dawniejszą gwałtownością. Po 4 godzinach drogi uczuła dziewica wielkie znużenie — lecz nie spostrzegła nigdzie gościnnego domu. Musiała tedy u stóp pagórka za skałą szukać schronienia, gdzie przynajmniej przykry wiatr nie tyle jej dokuczał. W pobliżu rozciągała się przed nią dąbrowa. Dębów dotąd nie widziała — nie spodobały się też jej takowe. Sosna była drzewem w kraju wygnańców i przypominała jej zawsze drogich rodziców. „Kiedyż znowu ujrzę się biedna w ich objęciach?" mówiła z płaczem do siebie. Oczy jej zwróciły się ku Kazaniowi, którego wieże zdaleka jeszcze połyskiwały; w mieście widać było na szczycie skały twierdzę dawnych tatarskich chanów, którzy tam niegdyś przemieszkiwali.

Wypocząwszy nieco i odzyskawszy w gorącej modlitwie spokój i siłę zwróciła Marta kroki ku Niżnemu Nowgorodo-

wi, miastu, gdzie się wielkie jarmarki odbywają, gdzie się schodzą kupcy ze wszystkich azyatyckich i europejskich krajów. Stąd dostała się ona wśród nieskończonych trudów, lecz cało do Włodzimierza. Dzięki gościnności rosyjskich chłopów, którzy za nocleg, chleb i mleko nigdy zapłaty nie żądają, posiadała Marta za przybyciem do tego miasta jeszcze jeden rubel w sakiewce. Cierpiała jednak wielki niedostatek. Jej trzewiki podarły się, suknie jej, już częścią tylko same strzępy ochraniały ją licho od zimna, sięgającego już wówczas 30°. i wzrastającego z dniem każdym. Snieg pokrył ziemię na 2 stopy głębogo. Przytem dął tak straszny wicher, że Marta musiała wykopać dół w śniegu, usiąść w takowym i okryć głowę długimi kawałami kory według zwyczaju w Syberyi. C. d. d.

Nawrócenie zbójcy.

Legenda ludowa.

Dawno temu dawno, bo wieki mijają już całe, gdy w starym borze, kiedyś w polskiej ziemi, może nad Wisłą może nad Dniestrem, mieszkał w podziemnej chałupie zbój. Niegdyś zbój ten, młodem będąc chłopięciem, miał matkę poczciwą i pobożną; ona go też modlitwy uczyła, ona czuwała nad sercem chłopięcia, by złe ziarno nie kiełkowało w niem. Lecz niestety, kiedy matka umarła, chłopiec zapomniał się strasznie. Wzrastał w lata, ale też zachciawało mu się coraz to nowych hulanek i wybryków. A kiedy całą przepił ojcowiznę — kiedy dużo złego nabroił, zbójeckiego jął się rzemiosła. W lesie zbudował sobie pod ziemią domową ostoję. Z piętnaście lat już władał krwawą, zbójecką buławą. Żal się zrobiło Najświętszej Pannie w niebie, która jest prawdziwą „Ucieczką grzeszników“ — kocha lud swój i płacze nad tymi, co w grzechach tonąc, na Boga nie pomną, postanowiła więc wybawić duszę jego z zatracenia. Wszakże ten zbój dawniej modlił się do Najświętszej Panny i z sędziwą matką godzinki śpiewał. Dusza pobożnej jego matki, smutna dziś przed tronem Maryi.... bo syn jej po zgubnej, okropnej stąpał drodze.

Prawdą jest, że kto źle czyni, piekłu służy.

Udaje się więc Matka Boska do Pana Jezusa i wstawia się za zbójem. Pan Jezus pozwala Jej okazać się miłosierną zatwardziałemu sercu zbójcy. Więc zstąpiła Najświętsza Matka z Panem Jezusem na ziemię. Wziąwszy Syna na ręce, idzie przez bór.

— Stój! — zagrzmiał głos zbójcy.

Matka Boska wstrzymała się i rzecze:

— Pokażcie mi, człowieku, kędy do dworu droga lub przenocujcie mię u siebie.

Zgodził się zbój na przenocowanie i zaprowadził ją do swego mieszkania.

- Przenocuj mi, Marto, tę kobietę — powiada do żony — bo ja idę w las.

Skoro zbój wyszedł, żona jego objaśniła przybyłej kobiecie, że nieszczęśliwy wybrała nocleg, bo już podobno więcej światła dziennego nie ujrzy. Późnym wieczorem zabierała się zbójowa do kąpania synka swego Ignasia, który był kaleką. Połamany, pokurczony, nie mógł stanąć na nogi. Westchnęła Marta i rzecze do Najświętszej Panienki.

— Może, kobiecinko, znacie kogo, coby trochę choć wyleczył z tego kalectwa naszego Ignasia. Mój mąż dałby mu za to całe góry złota.

— Dajcie mi tylko innej wody — odpowie Matka Boska— a ja go wyleczę.

Choć trochę niedowierzając, przyniosła Marta świeżej wody do kąpieli. Matka Boska zanurzyła wpierw Swego Synka w wodzie, a potem kazała Marcie skąpać swego. Ledwo trochę pobył w wodzie — już sam z niej wyskoczył — zdrów i calusieńki na ciele. Zdumiała się Marta. Po pół nocku przybył zbój.

— A jest tu ta kobieta? — pyta na wstępie.

— Jest — odzywa się żona.

-- No to dawaj mi ją tu, bo ją zabić trzeba.

— Mój ty mężu! ta kobieta to jest jakaś cudowna lekarka. Tyleśmy się nabiedzili Ignasiem, tylu lekarzy, zna-

chorów i czarownic radzili a przecież nikt mu nie pomógł, aż oto ta niewiasta.

Uradowany zbój biegnie czemprędzej do łóżka syna i woła:

— Ignasiu! a chodźże ty do mnie!

Na głos ojca Ignaś wyskakuje z łóżka ochoczo, jakby mu nigdy nic nie było. Klęka zbój przed Cudowną Lekarką, mówiąc wzruszony.

- Bierz, co chcesz odemnie! — Pieniądze i wszystko, co mam — znajdziesz bogactwa u mnie bez miary.

Ale Matka Boża ani grosza nie przyjmuje.

— Dziękuję -- rzecze -- i z tego miejsca ustępuję — i wybrała się w dalszą drogę.

Zbój odprowadza ją i w końcu wyrzeka się ohydnego zatrudnienia, mówiąc:

— Lekarko Najcudowniejsza! — dzięki Ci za uzdrowienie mego syna, przyrzekam Ci, że odtąd ustępuję z przymierza i przyjaźni szatańskiej.

Gdy to wyrzekł, Matka Boska — otoczona przedziwną jasnością uniosła się do nieba. Wiele lat minęło znowu, a zbój ciężko pokutował, aż w końcu Pan Jezus przebaczył mu wszystko. Syn zbója tego Ignaś, żył cnotliwie i pobożnie. To też gdy umierał, wysłał Pan Jezus trzech białych aniołków, którzy czystą duszę jego przenieśli przed tron Boga. Matka Najświętsza ustanowiła go sługą Swego Syna, na pamiątkę, że niegdyś uleczyła go wodą, w której się Dzieciątko Jezus kąpało.

Jest to podanie ludu, kochani czytelnicy; ale choć twierdzić nie możemy, czy się to stało, toć przecie uczy nas ono, że kto się pod opiekę Najświętszej Panny oddaje, może być jej opieki pewnym.

Dlatego i wy kochajcie tę Królowę Aniołów, Królowę naszej krainy i ilekroć usłyszycie głos dzwonka do modlitwy wzywającego, niech z niewinnych Serc Waszych popłynie na cześć Jej pobożne: „Anioł Pański.“



Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Maximin zaraz chciał się bić, aby w rocznicę rozpoczętego panowania swego obchodzić dzień zwycięztwa i już bardzo rano 30 kwietnia postawił swoje wojsko do bitwy. Żołnierze Liciniusza chwytają za bron i idą przeciwko wojsku Maximina. Pomiędzy obydwoma wojskami rozciągała się wielka pusta równina. Już obydwa wojska patrzą na siebie. Zcłnierze Liciniusza składają swoje puklerze, zdejmują przyłbice, wznoszą swoje ręce ku niebu i odmawiają przepisaną modlitwę wraz z cesarzem i wodzami. Przybliżająca się armia Maximina widzi modlących się. Gdy żołnierze trzy razy tę modlitwę odmówili, napowrót biorą swe przyłbice i puklerze z wielką odwagą. Tymczasem obaj cesarze spotykają się, lecz do zgody nie przyszło. Maximin nie daje się skłonić do pokoju, pogardza Liciniuszem, myśli bowiem, że żołnierze go opuszczą. Cesarze wracają do swego wojska i broń ma sprawę roztrzygnąć. Armia Liciniusza rozpoczyna bitwę, uderza na nieprzyjaciół i wielki robi między nimi popłoch, żołnierze są bezwładni, wszystkie starania Maximina, aby ich zachęcić do bitwy są bezowocne. Wielka armia od niewielu zostaje zniszczoną. Zdawało się, jakoby żołnierze Maximina przyśli nie do bicia się, ale na pobicie. Gdy już bardzo wielu zabito, Maximin się spostrzegł, iż bitwa zupełnie inny obrót bierze, jak on sobie początkowo wystawiał. Wtenczas zrzucił z siebie płaszcz purpurowy, ubiera się w odzież niewolnika i ucieka przez Bosfor. Połowa jego armii została zniszczoną, druga część została do niewoli zabrana a reszta poszła w rosypkę. Cesarz pobity udał się do Nikomedyi, gdzie prędko zabrał swą żonę i dzieci i uciekł do miasta Tarsus. A zwycięzki cesarz Liciniusz tryumfalnie wszedł do Nikomedyi, gdzie 13go czerwca 313 r. zniósł wszystkie rozporządzenia do prześladowania chrześcian i dał kościołowi katolickiemu zupełną wolność. Wkrótce potem Liciniusz poszedł ścigać Maximina, ale kara boża już go dotknęła. Powiada Laklancyusz: Ponieważ go niepokojono na lądzie i na wodzie i po-

nieważ stracił wszelką nadzieję ucieczki, sam się zabił. Nim to uczynił, objadł i opił się i wziął truciznę. Siła trucizny w pełnym żołądku nie zaraz działała. Lecz po chwili cierpiał cesarz straszne boleści. Nieznośny ból pozbawił go zmysłów, tak że w napadzie wściekłości przez 4 dni pełne garście piasku dla głodu wielkiego pożerał. Gdy wśród okropnych boleści uderzył głową o ścianę, oczy mu na wierzch wyszły. Teraz dopiero straciwszy wzrok zaczął Boga widzieć, który otoczony aniołami w białych szatach sądził go. Zakrzyknął jak człowiek, którego męczą i wołał: „Ja tego nie uczyniłem, to inni." Czasami modlił się i błagał Chrystusa, aby się nad nim zmiłował. Tak skończył wśród strasznych męczarni, jęczał i lamentował, jak gdyby go w ogniu palono." Tak zakończył Maximin, który strasznie Kościół prześladował i krwią chrześciańską się skalał. Cesarz Liciniusz kazał zabić dzieci Maximina, chłopca 8 lat mającego i siedmioletnią córkę, jakoteż i syn jednego Galerusa, wdowę i matkę jego, tak że całe ich pokolenie wyniszczone zostało.

Tak teraz całe państwo rzymskie tylko dwóch miało cesarzy Konstantego i Liciniusza a Kościół od okrutnych nieprzyjaciół uwolniony, a członkowie jego, którzy byli bez wszelkiego prawa, zostali postawieni na równi z wszystkimi, tak co do religijnego jak politycznego stanowiska. Prześladowanie Kościoła przez rząd trwało 300 lat a przez tak długie doświadczenie Kościół pokazał, że jest boskiem urządzeniem, które do istnienia nie potrzebuje pomocy rządu i jest od rządu niezależnym. Zupełnie inaczej miała się rzecz z rzymską religią pogańską, która znikła jak tylko rzymscy cesarze swoją opiekę cofnęli. Podczas kiedy wszystka moc państwa nie mogła zniszczyć Kościoła katolickiego, pogaństwo powoli samo upadło bez wszelkiego prześladowania, jedynie dla tego, że polityczna pomoc państwa odjętą mu została. C. d. n.

South Bend, Ind., 11 Października 1888.

SZANOWNY REDAKTORZE! — Wczoraj przy końcu lekcyi, nasz nauczyciel Br. St. C. S. C. opowiedział nam powiastkę o chciwym dziadku, którą każde z nas miało według swego układu na drugi dzień przynieść

napisaną na papierze. Ja też napisałem; lecz pomyślałem sobie, czyby tego nie można podać do Dnia Świętego? więc przepisawszy na czysto przysyłam takową, którą, jeżeli można, proszę umieścić w Dniu Świętym. Proszę jednakże darować mi wszelkie błędy, gdyż dopiero piąty rok chodzę do szkoły. — Jan Koszewski.

Chciwość ukarana.

Podczas pięknego wieczora, kiedy gwiazdy pięknie przyświecały a księżyc rzucał swe bladawe promienie na całą okolicę; przechadzał się ubogi dziadek w około wiejskiego kościołka, narzekając na swą biedę. „Mój Boże! zawołał spoglądając na wielkie zabudowania i rozległe grunta dworskie. Gdy bym ja był tak bogaty jak ten dziedzic, tobym przez całe życie więcej nie pragął, ale chodziłbym codziennie do kościoła i chwalił bym Cię o Boże."

Albo naprzykład ten obok niego mieszkający sołtys; rozparł się jak kokosz na grzędzie i żyje sobie jak u Boga za piecem a tu ja czasami nie mam i kawałka suchego chleba! Mój Boże! Jak to nie równo ludzie na tym świecie są obsypani bogactwami: Jedni mają za wiele, a drudzy nic, tak że całe życie biedę klepać muszą.

Tak wyrzekał biedny dziadek na swoją nędzę wyliczając przytem troski i cierpienia, jakie ponosi a mniemane rozkosze bogaczy. Aż tu z pomiędzy drzew wysunął się siwowłosy staruszek i zbliżywszy się do dziadka rzecze: Dziadku! słyszałem wasze narzekania na swą biedę i nędzę, w jakiej jesteście, więc litością zdjęty przychodzę wam dopomódz.

Ach! dopomóżcie mi mój tatuleńku, dopomóżcie! zawołał dziadek a oczy zaświeciły mu się z radości.

Staruszek rzekł: Zdejmijcie waszą torbę a nasypię wam w nią dukatów, ale przestrzegam was, trzymajcie ją ostróżnie, bo który dukat spadnie na ziemię, ten się w proch obróci; zatem to tylko będzie waszym zyskiem, co wpadnie do torby. Dziadek o mało nie podskoczył z radości; zdjął prędko torbę, wysypał z niej pozostałe z chleba okruszyny i drżącemi rękami od chciwości ścisnął ją mocno, aby mu nie wypadła. Staruszek zaś począł hojnie sypać dukaty; ale o dziwo! dukaty z gołych rąk staruszka sypią się do torby. Gdy już torba by-

ła do połowy zapełniona dukatami, rzecze staruszek: Dziadku! myślę, że już macie dosyć, bo już więcej posiadacie bogactwa od tego tam sołtysa! Wreszcie niebezpieczno jest sypać więcej, ponieważ worek stary łatwo przedrzeć się może, a tak złoto wysypawszy się na ziemię, w proch by się obróciło. Lecz nienasycony chciwością dziadek woła: Ach tatuleńku kochany! dorzućcież mi jeszcze z kilka, dorzućcież moje serdeńko!

Staruszek znów począł sypać a gdy już było blisko pełno, rzecze poważnie: Ej dziadku! Patrzcie no! Worek wytarty tak, że się złoto przez niego na drugą stronę świeci, łatwo pęknąć może, a tak dukaty wypadłszy na ziemię w proch zamiennione zostaną; wreszcie macie już dosyć, bo więcej od samego dziedzica.

Ale chciwość rzadko bywa kiedy nasycona; tak też było i z dziadkiem. Znowu woła i prosi: O mój tatuleńku! O mój kochaneńku! O moje serdeńko! Jeszcze też z kilka dorzućcie!

Więc staruszek machnął z całej siły kilka razy rękami a pieniądze sypnęły się znowu, tak że już torba była blisko pełna; w tem: szast!.... Stara wytarta torba pękła a dukaty wysypały się na ziemię. A dziadek chcąc jeszcze co uzyskać chwyta za pieniądze leżące na ziemi, ale zamiast złota podnosi tylko garść piasku; potem sięga ręką do torby chcąc się przekonać, ile tam pozostało, ale i reszta wysunęła się na ziemię i w proch zamieniła. Obejrzał się na wszystkie strony, ale staruszka nie było. Daremnie biega w kolo kościoła, krzyczy, woła; staruszek znikł bez śladu. W końcu biedny dziadek rozbeczał się jak dzieciak, a wziąwszy swój podarty worek powlókł się dalej, żebrząc i mając w pamięci swą niepowetowaną stratę. Tak to zwykle chciwość bywa ukaraną.

Dwa podania o paproci.

I.

Paproć zakwita podług podania ludu w wilię św. Jana, a kwitnie tylko godzinę. Ktoby tego kwicia dostał, ten widziałby wszystkie skarby w ziemi i wiedziałby o wszystkiem. Atoli bardzo trudno dostać kwiatu pa-

proci, gdyż złe duchy czynią wielkie przeszkody. — Żył raz dawnemi czasy w pewnej wsi gospodarz, mający starego ojca. Żona tego gospodarza była bardzo kłótliwa, a nadewszystko nie mogła wcale się zgodzić z ojcem męża. Wciąż mu dokuczała, biła nawet staruszka.

Stało się raz, że temu gospodarzowi zabłąkała się w lesie krowa. Na dworze było ciemno, wicher straszliwy dął przeraźliwie, i deszcz padał rzęsisty, jednak owa niegodziwa kobieta wyżgała starego ojca, aby poszedł do lasu szukać zgubionej krowy. Szuka biedak krowy i płacze gorzko na swą dolę, ale krowy jak nie ma, tak nie ma. Wtem zakwitła paproć, gdyż była to właśnie wilia św. Jana. Kwitnęła cudnie paproć, blask nadziemski rozsiewając. Podskoczy starzec, aby zerwać kwiat złocisty, ale kwiat zleciał na ziemię i wpadł w bót biedakowi. Wiedział on zaraz: gdzie krowa i widział w polu wielkie skarby. Zaprowadził czemprędzej krowę do domu, a poszukawszy rydla poszedł w pole, aby skarby wykopać. Przecież aby śladów nie poznano, postanowił iść boso. Zezuł tedy bóty, ale niestety wytrząsnął cudowne kwiecie, a już nie wiedział gdzie skarby. Daremnie skopał całe pole — skarbów już nie znalazł.

II.

Szło raz przez las dwóch studentów. I stało się, że jeden drugiego postanowił zabić. Rzucił się więc z nożem na towarzysza i zaczął zadawać mu ciosy śmiertelne. Napadnięty prosił o zmiłowanie, ale czułe jego prośby nie zmiękczyły zakamieniałego serca. Po wielu ciosach rzekł umierający słabym głosem: „Bóg jest sprawiedliwy — oto ta paproć cię wyda.“ To rzekłszy, wyzionął ducha.

Rosło w tym lesie dużo paproci. Zabójca pochował głęboko w ziemi ciało nieszczęsnego towarzysza, a spojrzawszy na paproć zaśmiał się tylko, nie obawiając się, aby paproć jego zbrodnię wydała.

Jakoś w rok zobaczył ów morderca wielu ludzi, niosących wianki z paproci. Wspomniał na słowa umierającego towarzysza, mówiąc: Jakże mnie ma ta paproć wydać, i zaczął się śmiać z tego. Smiech atoli nie ustawał, morderca wciąż się śmiał i to coraz bardziej. Wzbudziło to podejrzenie, tak iż przytrzymano zbrodniarza i tak długo nań nalegano, aż się przyznał do zbrodni. A tak paproć go wydała.

Pamiętajcie to sobie, że żadna zbrodnia się nie utai, a choćby się utaiła przed ludźmi, to nie zatai się przed Bogiem wszystkowiedzącym.

Rozmaitości.

Matka czytała synkowi historyjkę o pewnym młodym i dobrym chłopczyku, który po śmierci ojca bardzo pilnie pracował, aby swej matce dopomagać w wyżywieniu. Po skończonym czytaniu zapytała mama: „Cóż, Jasiu, gdyby nasz tatko umarł, tobyś niezawodnie tak samo chętnie pracował, aby twą mamę ratować“. „O mamo“ — zawołał Jasiu, któremu widocznie praca trafiła do gustu — „poco pracować, czy to nie mamy pię-

knego domu?" — „Prawda — odrzekła mama — ależ domu jeść nie będziemy mogli". — „No i cóż, czy to nie mamy pełno smacznych rzeczy w spiżarni?" odparł mądry synek. „Mamy wprawdzie — mówiła znów mama — ale one nie wystarczą na długo; a potem co?" — „Ależ mamo — przezorny zawołał synek — czy to one nie wystarczą tak długo, aż drugiego męża sobie nie znajdziesz? — Tu już mama dała pokój nauce.

Ukarany pijanica. — Pewien wyrobnik osławiony pijanica, żywił siebie i swą rodzinę ziemniakami i gorzałką, kapustą i gorzałką, chlebem i gorzałką; na mięso lub kaszę nie wystarczyło, ale gorzałka musiała być w domu. Zeszłego roku po spowiedzi pościł przez cały post i wstrzymał się od gorzałki, aż w Wielką Sobotę dzwony rozwiązano. Usłyszawszy dzwony, zawołał zuchwale: „Alleluja! zmartwychwstanie! — i moja flaszko wychodź z grobu." — Wydobywszy butelkę z kieszeni, łyknął mocno raz i powtóre — a potem upadł na ziemię trupem. Prawdziwe zdarzenie!

Ile włosów na głowie? Pewien Anglik obliczył, że na głowie ludzkiej znajduje się przeciętnie 120,000 włosów. Jużci bywa mniej i więcej' a kto chce dokumentnie wiedzieć, najlepiej niech sam porachuje, jeżeli niema co lepszego do roboty.

Pewien wysoki, bardzo chudy pan w Wiedniu spotkał na ulicy pijanego chłopa. Stanąwszy, rzekł do niego: „ei ei, przyjacielu, zdaje mi się, iż cokolwiek za wiele piliście." Mnie zaś się zdaje" odpowiedział chłopek, „że pan za mało jadłeś."

Powiedz mi, który z monarchów ma największą koronę?" — „Otóż ten, który ma największą głowę", była krótka odpowiedź.

„Czy to nie jest fatalnie tak się zestarzeć?" — przemówił młody wiercipięta do siwego starca. „Tak panoczku — odrzekł starowina — ale też to jedyna dla tego próba, kto chce żyć długo na świecie."

Powiedz mi, kolego, dla czego Węgrzy mają tak cienkie nogi?" Jako zdrowomyślący żołnierz odpowiada Kruś: „oto dla tego, aby mogli wciągnąć na nie swoje wązkie spodnie".

A ty pijaku, znów leżysz w rynsztoku! nie wstydzisz się? Uspokój się kochana żonko! Czego się mam wstydzić rynsztoka? Nie miejsce zdobi człowieka, ale człowiek miejsce.

Kucharz: Dziękuję panu za służbę. Pan: A to dla czego? Kucharz: Bo u pana nie ma sprawiedliwości, ogrodnik dostał medal za karafioły od pana, owczarz tosamo medal i pieniądze za tłuste barany na wystawie, a ja com samego pana tak upasł, nic nie dostałem.

Czułość. Pewna pani utrzymywała, że ma zbyt serce czułe i czyniła wyrzuty pewnego dnia swemu rzeźnikowi, że obrał sobie tak szkaradną profesyą. „Jak możesz pan, rzekła mu ona, być tak okrutnym, zabijać te baranki" "Pani, odrzekł rzeźnik zdziwiony, czy raczej wolałabyś zjadać je żywcem?"

Powinieneś Pan też więcej o kościele pamiętać, co za katolik z Pana? „O księże dobrodzieju! jestem katolik jak sto djabłów!"